

JUDAS

Dla Layne Morgan rozpoczyna się
niebezpieczna gra o życie.
Czy zdoła je ocalić?

K.C. HIDDENSTORM

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/judase>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8874-1

Copyright © K.C. Hiddenstorm 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1

Teraz myślę, że powinnam była inaczej rozegrać karty. Ale tamtego słonecznego dnia, kiedy zmierzałam na umówione spotkanie z klientem jednej z firm wydmuszek wchodzących w skład imperium mojego męża, nie sądziłam, że zagrożenie jest tak realne i że dosłownie czyha za rogiem. Byłam po prostu naiwna, mój błąd.

Rzuciłam okiem na leżącą na siedzeniu pasażera teczkę. Ta akurat firma nazywała się wdzięcznie Blue Line. Vincent Morgan zbudował wspomniane imperium, sprytnie wykorzystując wszelkie dostępne odcienie szarości, jakie tylko byli mu w stanie wskazać jego prawnicy. Ja również byłam jednym z nich, przynajmniej na papierze. I właśnie od papieru wszystko się zaczęło. A raczej od mojego podpisu na nim. Sfalszowanego podpisu.

Ta sprawa gryzła mnie nawet teraz, cztery dni po dokonaniu tego przełomowego odkrycia. Vincent zrobił coś, czego robić nie powinien. I wbrew jego zapewnieniom nie wydawało mi się, że nie mam powodów do zmartwień. Lewe papiery były na moje nazwisko, a jeśli interes wywali się na ryj, ja będę miała kłopoty, nie mój mąż. Tak niewiele trzeba, żeby w jednej chwili wszystko stanęło pod znakiem

zapytania. Zaczynasz kwestionować swoje małżeństwo, życie, a do tego tkwisz w cholernym korku.

— Kurwa mać! — wyrwało mi się.

Zabębniłam w kierownicę. Nie wyglądało na to, że się stąd ruszę, co najwyżej mogłam wjechać w boczną uliczkę i resztę drogi pokonać pieszo. Było popołudnie, godziny szczytu. W końcu skapitulowałam. Jeżeli w ogóle chciałam zdążyć na umówione spotkanie, nie miałam większego wyboru. Żaden problem, w końcu ruch to zdrowie. Poza tym nie lubiłam nawalać.

Zaparkowałam naprzeciwko włoskiej knajpy. Zgarnęłam teczkę z dokumentami i wysiadłam z wozu. Stukot moich szpilek rozlegał się na chodniku i powracał echem do moich uszu. W przeciwieństwie do zakorkowanych ulic pieszych było tu jak na lekarstwo. Podobno intuicję albo się ma, albo nie. Ja najwyraźniej ją miałam, ponieważ czułam się dziwnie nieswojo, trochę jak przed burzą, kiedy w powietrzu czuć tę szczególną elektryczność, od której unoszą się włosy.

Skręciłam za róg. Minął mnie posepny gość w za dużej kurtce z demobilu i przyspieszyłam kroku. Może to była tylko paranoja, ale nagle ogarnęło mnie wrażenie, że Vince planuje odstawić jakiś antyspołeczny numer. „Postanowiłaś wetknąć nos tam, gdzie nie trzeba? W porządku, ale teraz spotka cię nauczka”. Tak, to byłoby w jego stylu.

Czułam się trochę jak w *Truman Show* — wszystkie oczy skierowane właśnie na mnie. Tyle że żadnych oczu nie było. Przemierzałam boczną uliczkę, o której podobnie jak

o poprzedniej nie można było powiedzieć, że należała do szczególnie tłocznych. Najwyraźniej wszyscy ludzie wybrali tego dnia samochody, jeszcze bardziej przyczyniając się do spustoszenia klimatycznego. Kręciliśmy sobie stryczek, aż miło.

Wynurzyłam się zza budynku, chcąc wyjść na kolejną, większą ulicę. Coś mignęło mi na granicy pola widzenia, a potem czyjaś ręka przycisnęła mi do ust i nosa chusteczkę nasączoną chloroformem. Umiałam to poznać. *To się nie...* — mniej więcej tak klarowała się moja ostatnia myśl.

Potem nastąpiła ciemność.

Obudziłam się z potwornym bólem głowy w obskurnej piwnicy. Nietrudno było odgadnąć, że to piwnica, wystarczyło tylko spojrzeć na wąskie okno. Widziałam przez nie fragment chodnika oraz wysoką trawę. Pewnie jakieś głębokie zadupie albo opuszczona parcela.

Nie miałam zegarka, więc nie mogłam stwierdzić, ile czasu minęło. Zapewne kilka godzin — popołudnie zdążyło przejść w zmierzch. Chciałam potrzebować ramiona, na których poczułam gęsią skórkę, ale nie mogłam. Moje nadgarstki były skrępowane srebrną taśmą. Tego już trochę, kurwa, za wiele — pomyślałam. Wiedziałam, że za wszystkim stoi mój mąż, przecież sam zagroził mi, że jeśli nie przestanę być wścibska, wywiozą mnie w bagażniku. Już raz coś takiego zrobił. Wtedy, co prawda, nie obudziłam się w zatęchłej piwnicy, lecz jak widać, tym razem Vincent poszedł o krok dalej.

Usłyszałam chrobot i spojrzałam w kierunku, z którego dolatywał. Przez łupanie w głowie obraz rozmazywał się na krawędziach, jednak powoli to przykre wrażenie mijało. Z naciskiem na „powoli”. Przy odrobinie szczęścia obejdzie się bez krwiaka podtwardówkowego. Gorzej, jeśli człowiek, który mnie porwał, był amatorem i dla pewności postanowił zdzielić mnie czymś ciężkim w głowę. Nie, zaraz, wróć. Vincent nie wynajmował amatorów. Sadystów owszem, ale nie amatorów.

Chrobot się powtórzył. Pomieszczenie oświetlała jedynie naga żarówka, ale to było dość, bym widziała drzwi. Kłamka się poruszyła, po czym do środka wszedł wysoki, barczysty mężczyzna w motocyklowych butach i czarnej skórzanej kurtce. Miał ciemne włosy, brodę oraz niesamowicie zielone oczy. Mimowolnie przykuły moją uwagę.

— Loraine, tak? — zapytał.

— Layne — sprostowałam. — Nazywam się Layne, dupku.

Uniósł brew.

— Layne? To dobre dla faceta.

Przewróciłam oczami. Gdybym za każdym razem, kiedy słyszę podobny tekst, dostawała dolara... I tak dalej, i tak dalej.

— A wyglądam ci na faceta, geniuszu?

— Raczej na wściekłą kotkę.

No, od razu było znać, że ma podejście do kobiet. To będzie naprawdę czarujący... Co? Kwadrans? Trzy godziny?

Cała długa noc? Na ile wyliczył to sobie mój mąż? Ile czasu będzie trwała ta wyrafinowana nauczka, zanim wparuje do tej piwnicy z cygarem w dłoni i wygłosi stosowny komentarz?

Mężczyzna kucnął przede mną i zwiesił dłonie między kolanami. Emanował przyjemnym aromatem tytoniu oraz świeżo wypranych ubrań; jeżeli zapach Vincenta nazywałam bogactwem, to ten określiłabym jako codzienność. Nigdy wcześniej go nie widziałam, a miałam niezłą pamięć do twarzy. Wydawał się dziki i wściekły, ja jednak się nie bałam. Byłam na to zbyt wzburzona — ponieważ miałam pełną świadomość, że to główniany teatrzyk Vincenta, nic więcej.

Jak pokazał czas... nie mogłam pomylić się bardziej.

— Rozwiąż mnie, cholerny idioto — warknęłam, wyciągając przed siebie oklejone taśmą ręce. — I daj coś od bólu głowy.

— Bez wyzwisk, dobrze radzę — powiedział mężczyzna. Miał niski, wibrujący głos z rodzaju tych, które hipnotyzują. — Inaczej zamiast Layne będę cię nazywał suką. Nie wspominając o spełnianiu twoich życzeń. Nie jestem jebaną wróżką.

Zdmuchnęłam kosmyk włosów z czoła i wojowniczo uniosłam podbródek.

— Ty mi dobrze radzisz? Ty... dobrze radzisz... mi?

— Siedzisz tu skulona, związana i zdana na moją łaskę, więc... — Udał, że się zastanawia. — Tak, to ja ci dobrze radzę, dachowcu.

— Uważaj na słowa, Hells Angels. Bo ja stąd wyjdę, a ty... — Uśmiechnęłam się nieprzyjemnie. — Nie musisz.

Prychnął, ale nie skomentował mojej groźby. Wciąż mnie obserwował, a ja nie mogłam się nadziwić, jak można mieć tak zielone oczy. Niemal jak u kota.

— No i co? Będziemy się tak na siebie patrzeć? — Nie wytrzymałam.

— Na początek powinniśmy się lepiej poznać — stwierdził, wyjmując sprężynowy nóż, a ja poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. — Potem przejdziemy do negocjacji.

Zbliżył ostrze ku mojej twarzy, ale ja się nie cofnęłam. Nie zamierzałam okazywać strachu, inaczej moje położenie zmieniłoby się z niekomfortowego w oplakane. Poza tym miałam pieniądze, tak się składało, że całkiem dużo pieniędzy. Jeżeli skurwiel mnie potnie, zafunduję sobie nową twarz. Tyle że jeśli to zrobi, to go zapierdołę. Niech tylko spróbuje.

— Nie rób niczego, czego mogłabyś pożałować — poradził, a potem przeciął taśmę krępującą moje nadgarstki.

Nie miałam zamiaru się na niego rzucić ani podejmować innego rodzaju histerycznych działań. Bo po co? Stracić kontrolę nad emocjami to stracić kontrolę nad sytuacją. Rozmasowałam ręce, nie spuszczać wzroku z mężczyzny.

— Pewnie myślisz, że ci podziękuję?

Uśmiechnął się w mało sympatyczny sposób.

— Nie wyglądasz na kogoś, kto używa tego rodzaju słów.

Znajdował się o wiele bliżej, niżbym chciała. Z tej odległości mogłam zobaczyć każdą plamkę na jego tęczęwkach, zarys zmarszczek mimicznych wokół oczu, zapewne powstałych od uśmiechu, choć trudno mi było sobie wyobrazić, że ten facet się uśmiecha. Vincent wiedział, kogo wynająć do tej roboty, to trzeba było przyznać. Mężczyzna wzbudzał respekt samym tylko wyglądem, z kolei jego gabaryty sugerowały, że lubi sobie dorobić, objając komuś rękę. Tak, wiem, stereotypy są zgubne, ale kiedy siedzi się w zatęchłej piwnicy z obcym gościem, jakoś tak niełatwo od nich uciec.

— To dostanę coś od bólu głowy? — przypomniałam.

— Może.

No tak... W porządku, nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

— Rozumiem. Technika małych kroków. — Zmusiłam się do ostrożnego uśmiechu, którego facet nie odwzajemnił.

— Skoro tak twierdzisz.

Musiłam na moment przymknąć powieki. Nie jestem pewna, czy bardziej dlatego, żeby się nie zrzygać, czy raczej po to, żeby nie przywalić mu w zęby.

— To ty chciałeś się lepiej poznać — zauważyłam. — A teraz rzucasz czymś tylko marginalnie lepszym niż monosylaby. Co będzie dalej? Zabawimy się w dwadzieścia pytań?

— Marginalnie lepszym niż monosylaby — powtórzył, naśladując mój sposób mówienia. — Nauczyłaś się mówić ładnym językiem.

Chyba wtedy poczułam pierwsze ukłucie niepokoju. Może to była tylko rzucona od niechcienia uwaga, a może nie. Co, jeśli jakimś cudem ten facet mnie znał? Znał Layne, zanim została panią Morgan? Nie, niemożliwe, Vincent nie posunąłby się tak daleko. Och, kogo ja chciałam oszukać? Wystarczy, że tu byłam, już to świadczyło o tym, że posunął się za daleko.

— Na początek powiedz, jak się nazywałeś i co konkretnie powiedział ci mój mąż. — Mój głos brzmiał swobodnie, niemal można było pomyśleć, że dałam się zaprowadzić do tej zatęchłej nory z własnej woli.

Mężczyzna nieznacznie wzruszył ramionami.

— Nic mi nie powiedział.

— Zatem dał ci wolną rękę?

— Skąd pomyślał, że w ogóle z nim rozmawiałem?

Blef, oczywiście. Vincent z pewnością kazał mnie postraszyć, a wiedział, że nie tak łatwo wzbudzić we mnie strach. Lubiłam myśleć, że była to jedna z rzeczy, które go we mnie kręciły.

— Powiedzmy, że... wierzę. A imię? Musisz jakieś mieć.

— Judas.

Uniosłam brew.

— To na pewno imię?

Nóż cały czas obracał się w jego dłoni. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Nie musiałam sobie wyobrażać, jaki jest ostry. Chwilę wcześniej widziałam, jak łatwo przeciął grubą szarą taśmę.

— Dla potrzeb tej rozmowy przyjmijmy, że tak. Ale jeśli wolisz, możesz się do mnie zwracać: najjaśniejszy panie.

O, miał poczucie humoru. Nie żebym miała faceta polubić, ale dopatrywanie się pozytywów jest rzekomo zbawienne dla psychiki. Moja od pewnego czasu stawała przed kolejnymi wyzwaniem.

— Judas — powtórzyłam. — Ładne. Takie biblijne.

Jego usta wykrzywił grymas, który w lepszych okolicznościach można by uznać za uśmiech.

— Gdybym cię pieprzył, krzyczałabyś „O mój Boże”... — Podniósł się z kucek. Nóż wykonał ostatni obrót w jego dłoni, po czym zniknął w czeluściach skórzanej kurtki. — Ale nie tym razem. Nie lubię mieszać interesów z przelotnymi przyjemnościami.

Za tę odzywkę miałam ochotę skrócić mu kark. Czy jemu się wydawało, że jestem pierwszą lepszą dziwką, do której można startować z tego rodzaju gadką? Najwyraźniej tak. Duży błąd, za który sporo zapłaci. Niech tylko wyjdę z tej pierdolonej piwnicy.

— Vincent płaci ci ekstra za tego rodzaju uwagi? — zapytałam ze spokojem. — Jeśli nie, daruj sobie. Zadzwoń do niego i powiedz, że już wystarczająco mnie nastraszyłeś. Możemy się tak umówić? Odpalę ci za to premię.

Patrzył na mnie z pogardą, od której zrobiło mi się mdło. W ten sposób można patrzeć na robaka, który wypęła z oczodołu trupa.

— Zaszło tu pewne nieporozumienie, a ty na swoje nie-szczęście nie wiesz, jak duże.

— To znaczy?

— Nie jestem pieskiem twojego męża. Prawdę powiedziawszy, strasznie skurwiela nie lubię.

Nie uwierzyłam mu. To znaczy w to, że go nie lubi, nawet tak, ale pierwsza część wypowiedzi budziła moje wątpliwości. Zbyt dobrze wiedziałam, że to tylko teatryk Vincenta, nic więcej. Wynajął tego sukinsyna, żeby mnie postraszyć, dlaczego więc miałabym dać wiarę jego słowom? Nie wiem, po co w ogóle wdawałam się z nim w rozmowę. Może dlatego, że gdzieś w głębi siebie byłam przekonana, że mój urok osobisty zadziała sugestywniej niż forsa mojego męża? Ale na roztaczanie uroku osobistego byłam zbyt wkurwiona, a Vince najwyraźniej zapłacił mu odpowiednio dużo. Kurwa mać.

— I dlatego postanowiłeś mnie porwać? Bo go nie lubisz?

— Skoro on rznął głupa, postanowiłam robić to samo.

— Mniej więcej.

Szczególnie rozmowny to on nie był.

Podniosłam się z trudem, używając ściany jako punktu podparcia. W głowie wciąż mi łupało, ale przynajmniej spektrum widzenia nie miało już rozmiarów łebka od szpilki. Facet musiał zdawać sobie sprawę z tego, jak się czuję, wystarczyło tylko na niego spojrzeć. Poza tym, nie oszukujmy się, skoro był profesjonalistą — a widać było, że nim jest — miał pełną świadomość działania oraz skutków

ubocznych specyfików, jakich używał do pozabawienia ofiar przytomności. Szczerze wątpiłam, że byłam pierwszym tego rodzaju zleceniem. To duże miasto, nawet bez Vincenta przekonałam się, że dzieją się w nim rzeczy, o których większość zwykłych ludzi bała się nawet pomyśleć.

— Chloroform, naprawdę? Przecież wiesz, że on wcale nie działa tak jak w filmach.

— A kto powiedział, że to był chloroform?

— No dobrze. — Westchnęłam. — Zacznijmy od początku. Po co tu jestem?

Wargi Judasa rozciągnęły się w uśmiechu, który ściał mi krew w żyłach. Gdyby ktoś kazał mi zobrazować, jak wygląda szatan, wskazałabym zdjęcie tego faceta uśmiechającego się właśnie w taki sposób.

— Ponieważ twój mąż zrobił coś, czego nie powinien.

To akurat niewiele mi mówiło. Vincent ciągle robił coś takiego.

— No i? Mam paść na kolana i przepraszać?

Powoli poruszył głową z lewej na prawo.

— Przeprosiny mam głęboko w dupie, jego czy twoje. Ciekawi mnie natomiast, na ile wyceni twoje życie. Tak między nami... Mam nadzieję, że naprawdę cię kocha.

Na chwilę zaniemówiłam. Jeżeli facet grał, to kurewsko dobrze.

— Kazał ci sprawdzić, do czego się posunę? O to chodzi?

— Twój mąż nic mi nie kazał. Im szybciej przestaniesz tak kurczowo trzymać się tego pomysłu, tym lepiej.

— Lepiej dla kogo?

— Dla ciebie, jeśli chcesz żyć.

Podeszłam do niego z całą gracją, na jaką było mnie w tej chwili stać. Patrzył na mnie z leniwym zainteresowaniem, opierając dłonie na biodrach. Miałam gdzieś jego nóż i jego groźny wygląd. Ja również potrafiłam być groźna, bardziej niż sukinyśn przypuszczał.

— Słuchaj, pajacu. — Trąciłam go palcem w pierś. — Myślisz, że jesteś taki strasznie zabawny?

Złapał mnie za nadgarstek i wykręcił. Nie tak, żeby zrobić mi krzywdę, ale wystarczająco, żebym poczuła.

— Zrób mi tę przysługę i mnie nie dotykaj.

Popatrzyłam na swoją rękę zamkniętą w jego dłoni, po czym się roześmiałam.

— Wiesz, że wystarczy jedno moje słowo, żebyś zginął? Jedno małe słowo.

Patrzył na mnie tak przenikliwie, że aż zaczęło mi się robić nieswojo.

— Jesteś całkiem ładna. Szkoda by było, gdyby okazało się, że jednak muszę wysłać twoją głowę w kartonowym pudle.

— Kiepski wybór. Karton przesiąknie krwią.

— Nie, jeśli wcześniej spuszczę z ciebie całą.

— Będzie ci się chciało tracić czas, żeby zrobić ze mnie Czarną Dalię?

— Zawsze mogę po prostu wsadzić twoją głowę do pojemnika Tupperware.

Ta wizja była w jakiś sposób koszmarna, o wiele gorsza niż karton.

— Miło się gadało, ale... — Spróbowałam go wyminąć, lecz zastąpił mi drogę.

— Rozgość się — poradził, a potem pchnął mnie na ścianę. — Trochę tu posiedzisz. Twój mąż musi mieć czas, żeby za tobą zatęsknić.

Ból w potylicy eksplodował niczym flara, gdy moja głowa uderzyła w mur. Chmura włosów opadła mi na twarz, przesłaniając jedno oko.

— Zapłacisz mi za to — syknęłam.

Moja groźba nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. W oczach tego człowieka musiałam być tylko małym ujadającym pieskiem. A on był wilkiem.

— Lepiej pozbądź się tej manieri wścieklej suki i jeszcze raz przeanalizuj swoje położenie. Taka mała rada.

— Ty chcesz mi cokolwiek radzić? — Z mojego gardła dobył się ochryply rechot. — Lepiej popatrz na siebie.

— Tak. Bo to ja trzymam cię pod kluczem. Nie odwrotnie.

— Zadzwoń do Vincenta — zażądałam. — Natychmiast! Posłał mi lodowaty uśmiech.

— Nie spieszyłbym się tak na twoim miejscu. Pomyślałaś, co się z tobą stanie, jeśli nie odbierze? — Po tych słowach Judas odwrócił się i wyszedł.

Nie, nie próbowałam go zatrzymać. Miałam wrażenie, że moje nogi zmieniły się w ołów.

ROZDZIAŁ 2

Jeszcze długo po tym, jak Judas wyszedł, wpatrywałam się w drzwi. W dalszym ciągu zakładałam, że blefował, ale jeżeli to założenie było błędne, miałam poważnie przejebane. A coraz bardziej skłaniałam się ku przekonaniu, że mogło tak być. Nie wiem, czy Vincent ustalił z nim jakiegokolwiek granice, ale w moim odczuciu facet przekroczył każdą. Dotknął mnie i to był jego błąd. Potraktował mnie jak szmatę — i to był drugi. Nazywam się Layne Morgan i wbrew temu, co uważa mój mąż, to nazwisko jest siłą nas obojga. Zamierzałam jej użyć, gdy wreszcie opuszczę to więzienie.

Zacęłam krążyć od ściany do ściany, dokładnie tak, jak pojmane w niewolę zwierzę. Zresztą czyż nie tym właśnie byłam? Głowa w dalszym ciągu ćmiła bólem, co utrudniało koncentrację; wrażenie było podobne do tego, jakby ktoś napchał mi do środka waty. Po którymś okrążeniu przystanąłam i wyjrzałam przez maciupcie okno. Nie miałam co marzyć o wydostaniu się tą drogą. Udałoby mi się to jedynie pod warunkiem, że byłabym kotem.

— Kurwa! — fuknęłam. — Kurwa mać!

Na zewnątrz zapadał zmierzch, jeszcze trochę i zrobi się kompletnie ciemno. Nie miałam tutaj nic, posłania, latarki,

czegokolwiek, a wyglądało na to, że spędzę tu noc. Wymyślna forma kary, nie ma co. Powoli osunęłam się po ścianie i postanowiłam wykorzystać czas, którego nagle miałam w nadmiarze, żeby obmyślić, jak odpłace się mężowi za tę farsę. Zakładając, że to faktycznie on. Byłoby dość niezręcznie, gdyby okazało się, że Hells Angels — obłąkany sadysta — działa na własną rękę.

Przymknęłam powieki i wróciłam pamięcią do wydarzenia, które było zapalnikiem koszmaru, w jakim się znalazłam. Zaskakujące, z jaką klarownością powrócił każdy najdrobniejszy szczegół. Zupełnie, jakbym znów to przeżywała.

Weszłam do gabinetu i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Rozejrzałam się, wdychając woń drogich perfum zmieszaną z zapachem cygar. Tak pachniał Vincent. Musiał wyjść bardzo niedawno.

Usiadłam za biurkiem i przesunęłam opuszkami palców po lakierowanym wiśniowym drewnie. Wiedziałam, czego szukam, ale odwlekałam tę chwilę w nadziei, że... Nie, to nie była nadzieja. Tylko strach.

Zdecydowanym gestem szarpnęłam środkową szufladę i omal nie złamałam sobie paznokcia. Była zamknięta na zamek. Ale to nic, miałam klucz. Miałam wiele różnych przydatnych rzeczy. Wyjęłam teczkę z dokumentami i znów — zamiast od razu ją otworzyć — przez chwilę tylko siedziałam, wodząc po niej opuszkami palców.

— Pieprzyć to — mruknęłam i zajrzałam w dokumenty.

A potem moje usta otworzyły się, formując pełne zdumienia „O”.

Kłamstwem byłoby mówić, że się tego nie spodziewałam — w końcu przyszłam tu po to, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia — ale i tak zaboląło. Wrażenie było takie, jak gdyby ktoś zdzielił mnie pałką w tył głowy. Na każdym jednym świstku widniało moje imię i nazwisko: Layne Morgan. A to źle, to naprawdę kurewsko fatalnie, jeśli twoje nazwisko pojawia się w dokumentach przewozowych krasnali ogrodowych wypełnionych kokainą.

Krasnale to banal? Może i tak, ale Vincent Jestem Królem Pierdolonego Wybrzeża Morgan mógł pozwolić sobie na taki banal. No, a gdyby coś się rypnęło... Nie na niego były te cholerne papiery.

Zrobiłam głęboki wdech i odchyliłam się w fotelu. Pulsowanie krwi czułam gdzieś w oczach. Siedziałam tak, starając się nad sobą zapanować, i dopiero po chwili złapałam się na tym, że okręcam obręczkę na serdecznym palcu lewej dłoni z taką szybkością, że złoto zaczyna mnie parzyć. Zupełnie tak jak uczucie Vincenta, pomyślałam gorzko. Było palące, lecz nie tylko z powodu pożądania. Czasem było między nami coś takiego...

Usłyszałam stukot za drzwiami i wyprostowałam się gwałtownie. Spięłam się w oczekiwaniu, wstrzymując oddech. Nic jednak się nie wydarzyło, klamka ani drgnęła. Ktokolwiek to był, poszedł dalej. Albo... czekał.

Zamknęłam teczkę i schowałam dokumenty do szuflady. Przedtem jednak raz jeszcze spojrzałam na widniejące na nich moje imię i nazwisko, jakbym naprawdę musiała się przekonać, że nie jest to ponury żart. O nie, to była ponura rzeczywistość.

Wyszłam z gabinetu i nadałam się na Michaela. Miał poważną minę i lustrujące mnie z uwagą orzechowe oczy.

— Wszystko w porządku? — zagadnął.

Kiwnęłam głową i zmusiłam się do uśmiechu, mimo że tak naprawdę nic nie było w porządku. Chyba że można tak powiedzieć w sytuacji, kiedy mąż próbuje zrobić z Ciebie kozła ofiarnego.

— A po twojej stronie? — odpowiedziałam pytaniem.

Potwierdził.

— Nigdy nie odstawiam fuszerki, dobrze pani wie. — Zaryzykował uśmiech.

Lubiłam go z tym uśmiechem. Skinęłam w kierunku wylotu korytarza.

— Przejdźmy się.

Michael przyglądał koszulę.

— Czyli jednak...?

— Chodźmy — ponagliłam i nie czekając na męczyznę, ruszyłam przed siebie. Moje obcasy stuknęły zdecydowanie zbyt głośno albo to ja odbierałam to w taki sposób. Brzmiało to jakoś obco, jak odgłos z innego świata.

Wyszliśmy na taras. Michael niczym prywatny ochroniarz rozejrzał się dyskretnie, po czym dał znak, że wszystko

jest w porządku. A przez „w porządku” rozumiał to, że jesteśmy sami.

Oparłam się o chromowaną barierkę i chłonęłam jej niewzruszony chłód. Tego teraz potrzebowałam — czegoś zimnego, nieporuszonego. W dole przemykały samochody, z tej odległości śmiesznie małe, zupełnie jak zabawki. Powietrze pachniało oceanem, wiatr rozwiewał mi włosy, bawił się bluzką. Czułam na sobie wzrok Michaela.

— Co wiesz o interesie z Rainbow Investment? — zapytałam bez zbędnych wstępów.

Opart się o balustradę po mojej prawej, przybierając niemal identyczną pozycję. Psychologia i takie tam; zaskakująco często się przydawała.

— Jest lukratywny, to na pewno — zaczął z namysłem. — Zagrożony? Nie, nie sędzę.

A ja sędzę, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. Milczałam, czekając, aż Michael powie coś jeszcze, lecz on najwyraźniej uznał temat za wyczerpany.

— Jest na moje nazwisko. — Nie wytrzymałam.

Michael odchylił się i gwizdnął. Nie starał się nawet ukryć zaskoczenia.

— To... No cóż...

— Zabezpieczenie Vincenta — dokończyłam, uśmiechając się zimno.

— Pani Morgan...

— Ile razy mówiłam ci już, żebyś zwracał się do mnie po imieniu? Layne. Wystarczy Layne.

Pokręcił głową.

— Są granice, których nie przekraczam.

Uśmiech ponownie wypłynął na moje wargi. Tym razem nie był jednak zimny; gdybym teraz spojrzała w lustro, pewnie zobaczyłabym figlarną pobłażliwość. Michael darzył mnie... szczególną estymą, tak bym to ujęła. Widział we mnie nie tyle szefową, ile kogoś w rodzaju muzy, natchnionego guru. Gdzieś pod tym kryło się uczucie, może tylko zwyczajna fascynacja, jednak na jakimś poziomie nas to wiązało. I dlatego wiedziałam, że mogę na niego liczyć.

— Dziękuję za wszystko. — Dotknęłam klapy jego marynarki. — Nie musicieś.

Przywołał obojętną minę, ale widziałam ten błysk w jego oczach.

— Żaden problem, proszę pani.

Zerknęłam w stronę wejścia do budynku.

— Byłby, gdyby wrócił Vincent. Mylę się?

Michael nie odpowiedział od razu.

— Sądzę, że jako jego żona ma pani prawo... odwiedzać jego gabinet, kiedy sobie pani zażyczy. Jesteście przecież współnikami — stwierdził po namyśle. — Z drugiej strony jednak... pana Morgana łatwo rozdrażnić.

Parsknęłam śmiechem.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale ty chyba nie narażasz mu się zbyt często.

Uniósł brew.

— A pani?

— *Jak sam zauważyłeś, jesteśmy współnikami. Co więcej, jesteśmy także małżeństwem. Tego typu układy czasem prowadzą do spięć. Do niedawna nie miałam powodu, żeby narzekać, ale teraz...* — *Zatrzepotałam ręką w powietrzu.*
— *Nie podoba mi się ta cała sprawa z Rainbow Investment. Nazwij to kobiecą intuicją, jeśli chcesz.*

— *Z całym szacunkiem, ale nawet w przypadku potencjalnych przeszkód pan Morgan będzie w stanie... ochronić swoją żonę i współniczkę. Już nieraz udowodnił, że potrafi zadbać o to, co jest dla niego ważne.*

— *Będzie w stanie?* — *powtórzyłam.* — *W to nie wątpię. Jednak właściwe pytanie brzmi: czy będzie miał na to ochotę?*

Między nami zaległa cisza. Ciężka, taka, która opada na ramiona wzorem miedzianego płaszcza. Nie przerywałam jej dłuższy czas, pozwalając, by wiatr bawił się moimi włosami. Patrzyłam w dół, na sznur zabawkowych samochodów, zastanawiając się, czy ktoś kiedykolwiek stąd wypadł. Nie przez przypadek. W świecie Vincenta Morgana nie było przypadków.

Michael dyskretnie spojrział na zegarek.

— *Jeśli to wszystko, chyba powinienem panią odwiedzić* — *powiedział. Może to tylko moje paranoiczne wrażenie, ale zdawało mi się, że dostyszałam napięcie w jego głosie.*

— *Byłbyś tak uprzejmy?*

— *Zawsze.*

— *Zatem w porządku. — Posłałam mu przelotny uśmiech. — To bardzo miłe, Michaelu.*

— *Cała przyjemność po mojej stronie, pani Morgan. — Wskazał ręką rozsuwane drzwi. Jedyne pracownik Vincenta, którego autentycznie lubiłam.*

Zatrzymałam się na moment.

— *Jak to się stało, że taki miły mężczyzna zaczął pracować u kogoś takiego jak mój mąż?*

W orzechowych oczach Michaela odbiło się coś drażniącego.

— *Mógłbym zadać podobne pytanie, ale... proszę wybaczyć mi śmiałość... odnoszę wrażenie, że żadne z nas nie jest tak miłe, jak może się wydawać.*

Trafił, kurwa, w dziesiątkę.

Otworzyłam oczy. Dookoła panowała ciemność. Jeżeli gdzieś tam w górze świecił księżyc, jego blask tutaj nie sięgał. Tutaj byłam tylko ja i płonąca we mnie wściekłość. Czy naprawdę wyszłam za mężczyznę, który zrobił mi coś takiego? Tak, ponieważ najwyraźniej byłam idiotką. A może po prostu miłość pomyliła mi się z pożądaniem?

— *Zapłacisz mi za to, bydlaku — obiecałam. — Za każdą chwilę tutaj.*

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Miłość, pieniądze, nielegalne interesy i... jeszcze raz miłość

Gdy Layne Morgan zdecydowała się wyjść za mąż, najwyraźniej myliła pożądanie z miłością. Vincent Morgan autentycznie ją zauroczył. Gwałtowne uczucie przyćmiło zdrowy rozsądek i Layne została jego żoną, choć w głębi duszy czuła, że będzie miała przez niego kłopoty. Jednak prawdziwy szok piękna pani prawnik przeżyła dopiero wtedy, kiedy jej przeczucia się potwierdziły. Okazało się, że pod przykrywką prowadzonej firmy Vince handluje kokainą, a na obciążających dokumentach widnieją podpisy... Layne.

Wściekła żona mafiosa postanawia coś z tym zrobić. Coś definitywnego, co z pewnością zaszkodzi panu Morganowi. Zabiera feralne dokumenty, wsiada do samochodu i... utyka w korku. Wieczne korki! Nie zamierza się jednak poddać. Porzuca auto — dalej idzie piechotą. Niestety, w ciemnym zaułku traci przytomność. Odurzona chloroformem, budzi się w zatęchłej piwnicy. Czyżby to Vincent dowiedział się o jej zamiarach i postanowił ją w ten nieprzyjemny sposób powstrzymać? Czy zielonooki Judas pracuje dla męża Layne? A może sprawy mają się zupełnie inaczej?

Porywająca, pełna zwrotów akcji i namiętności historia, którą po prostu trzeba poznać! To jedna z tych książek, w których cały czas się coś dzieje. Zapomnijcie o przerwach podczas lektury, ponieważ K.C. Hiddenstorm napisała powieść, której nie można odłożyć, dopóki nie pozna się jej zakończenia. Gorąco polecam!

KINGA LITKOWIEC

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-8874-1



9 788328 388741

Cena: 44,90 zł